

Natalia LI

Opera Omnia 5

Sztuka i Dokumentacja nr 1, 39-41

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

OPERA OMNIA 5

Przebudzenie

Aż do połowy lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku widziałam świat z jednej jedynie strony. Dużo pracowałam i często byłam fizycznie zmęczona, ale nawet w największym utrudzeniu nie odczuwałam trwogi istnienia. Często, po cało-dziennonocnej pracy ja i mój życiowy partner kochaliśmy się do białego rana z prawdziwym zapamiętaniem. Krótka drzemka po miłości pozwalała natychmiast stawać do kolejnych zapasów Amora z kondycją długodystansowca.

Zakochana po uszy, radosna i wesoła gnałam w przyszłość jak żreback na łące pełnej wonnej i świeżej trawy. W sztuce wszystko mi wychodziło. Byłam młoda, piękna (na swój sposób) i nieprzebranie szczęśliwa. Świat był poskładany i zrozumiały, a moje Życie miało konsystencję plasteliny, dającą się formować moją wolą i moją pracą. Miło mi było w sercu i na duszy, gdy moja kobiecość była zauważana przez przypadkowych przechodniów. Cichy, lecz słyszalny szmerek akceptacji był paliwem mojej biologicznej pychy i bezgranicznej próżności i głupoty.

Tak widzę to dzisiaj, mając za sobą traumatyczne przeżycia, które nieomal przyprawiły mnie o śmierć. Choć rozpatrując całe zjawisko mojego przebudzenia, symptomy grozy istnienia zauważałam i przeczynałam wcześniej, ale nie umiałam ich czytać.

Nie bagatelizowałam tego i regularnie bywałam u lekarza. Są choroby, które mimo swej powagi i zaawansowania nie mają objawów bólowych. Ta najbardziej wredna choroba jest szczególnie podstępna. Czułam się jak bohaterka noweli *Oszukana* Tomasza Manna, może nawet bardziej oszukana, bo nie przekroczyłam wtedy jeszcze czterdziestu lat.

Wiosną 1977 roku poczułam pierwsze objawy katastrofalnej choroby. Nawet po długim śnie budziłam się zmęczona, ale nadwrażliwie nerwowa. Jednowymiarowy świat szczęśliwości zaczął dyskretnie pokazywać drugą, ciemną stronę. Wsiadając do samochodu słyszałam za plecami gwizdy i zaczepki przechodzących młodzieńców z pobliskiego technikum samochodowego, ale już mnie one nie wprawiły w miły nastrój.

A nawet zaczęły mnie te zaczepki denerwować i irytować. W Galerii Studio w Warszawie, w maju 1978 r. mieliśmy otwierać wraz z A. wystawę. Andrzej przygotowywał z zapamiętaniem swoje cienie. Ja zaprojektowałam pokaz *Śnienia*.

Projekt *Śnienia* nie był naturalną kontynuacją tego, co dotychczas robiłam. Był jedną z tych heurez, które pojawiając się znikąd są tak kuszące i intrygujące, że nie sposób z nich zrezygnować, czy zaprzestać ich kontynuacji.

Z niezwykłą jak na mnie konsekwencją, narysowałam w grudniu 1977 r. plan mojej instalacji w Galerii Studio w Warszawie (białe szpitalne łóżko, na którym miałam przeprowadzić seans *Śnienia*). W maju 1978 r. nie śniłam w Galerii Studio tylko w szpitalu. Natomiast w Galerii rzutowano na pościel łóżka akty Natalii LL. Galeria Studio mieściła się w foyer teatru o tej samej nazwie, mieszczącego się w osławionym Pekinie czyli Pałacu Kultury i Nauki. Ogromne gmaszysko w stylu radzieckiego socrealizmu zaprojektował wybitny architekt Rudniew, autor projektów m.in. monumentalnego hotelu Rosjia i stacji Majakowska, Kirowska i WDNH w Moskwie.

W tym właśnie Pałacu KiN ulokował swój teatr Józef Szajna, reżyser, scenograf i artysta malarz uprawiający oryginalną, mocno ekspresyjną sztukę. Szajna był jednak osobą o wybitnej inteligencji, ograniczył się do reżyserowania dość osobliwych spektakli teatralnych, oddając galerię Studio w ręce ambitnego i sprawnego organizacyjnie Zdzisława Sosnowskiego, skądinąd byłego ulubionego studenta Andrzeja Lachowicza. Sosnowski miał bardzo dużą swobodę w programowaniu wystaw w Galerii Studio i preferował sztukę o orientacji zbliżonej do sztuki pojęciowej i postkonceptualnej. Wróciliśmy właśnie z pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej (1977), zaczęliśmy pracować nad projektem pokazu sztuki wewnętrznej albo metafizyczno-transcendentalnej, realizowanej jako wystawa indywidualna dwojga artystów.

Pracując każde z osobna działaliśmy nadając na jednej i tej samej fali: Andrzej skupił się na problematyce Cienia i Fotografii Konkretnej, do której negatywy wykonał w Nowym Jorku, ja zaś z nieznanymi przyczynami owładnięta zostałam przemożną potrzebą studiowania zagadnienia snu i śnienia jako stanu granicznego między świadomym i nieświadomym. Od dzieciństwa fascynowały mnie moje sny jako paralogiczny świat czy Kosmos, towarzyszący mojej przeżywanej rzeczywistości. Zestawienie rzeczywistości dnia codziennego z paradoksalną oczywistością moich doznań onirycznych stanowiło naturalną dziedzinę, w której lokowałam (po której się poruszałam), uprawiając altruistycznie traktowaną praktykę artystyczną. Stąd moja twórczość zakotwiczona była (i jest dotąd) w sferze zderzenia racjonalnych stwierdzeń i obserwacji opartych o intelekt i intuicyjne, ledwie odczuwalne szmery pochodzące jak u Alicji po drugiej stronie lustra w *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carolla, czyli pocziwego pastora Dodgsona. Zresztą nie tylko jego, bo i Williama Blake, który fascynował i czarował mnie swoją sztuką z równie wielką mocą. Oniryczna zagadka czasu/przestrzeni *Śnienia* miała pokazać niepotrzebność naszych (moich) doznań i nieświadomych przeżyć, które choć ulotne i ledwie słyszalne stanowią jeśli nie okno to przynajmniej lufcik, przez który udaje mi się zaglądnąć w przyszłość rzeczywistej rzeczywistości i rzeczywistości sztuki.

Wystawa/instalacja w Galerii Studio była już montowana (początek maja 1977), gdy Andrzej przypadkiem obejrzał wyniki mojego badania krwi. Niewiele mówiąc zaczął wydzwanianć po klinikach we Wrocławiu i umówił mnie na godzinę 7 rano do Profesora Janusza Woytonia w klinice na Dyrekcyjnej. O poranku dnia następnego byłam pierwszą pacjentką Profesora. I tu się zaczęło moje przebudzenie. Rozpoczął się film akcji o przejmującej dramaturgii, tym bardziej realny i bolesny, że dotyczył mojej osoby. Po krótkim badaniu i obejrzeniu analizy krwi profesor Woytoń, mężczyzna niezwykle przystojny (postawny pan o lekko kręconych i starannie przystrzyżonych

włosach, pachnący wodą kolońską *Barley* firmy *Yardley*, wówczas do kupienia jedynie w luksusowych sklepach) wyszedł ze mną do poczekalni, gdzie czekał zatroškany Andy i poinformował go, że zostaję w klinice. Operacja miała się odbyć nazajutrz rano.

Pełni mojego przebudzenia doznałam późną nocą, gdy rozpoczęły się okropne, zagadkowo nieznanne, zwierzęce bóle moich trzewi. To było doznanie sprowadzające mnie z wyżyn próżności – zachwytu sobą do parteru, a raczej do piwnicy spoconego, ze zlepionymi i nie upranymi włosami zbolatego pacjenta w przededniu operacji, błagającego o środki przeciwbólowe, było tak straszliwą dla mnie katastrofą wizerunkową, że zbudziłam się na dobre.

Ten upiorny wstrząs miał jedną dobrą stronę. Z osoby postrzegającej świat jako pasmo sukcesu, piękna, elegancji i urody, wpadającej w szambo behawioralnych i fizjologicznych tortur, po operacji udanej, choć z pooperacyjnymi komplikacjami, przebudziłam się jakby nową Natalią LL. Zaczęłam refleksyjnie patrzeć na życie, dzień każdy zaczął smakować jak kromka pysznie pachnącego chleba, który należy spożywać z uszanowaniem, a każdy spadły okruszek czy ułomek – jak pisał Krzysztof Kamil Norwid – podnieść z ziemi i ucałować z uszanowaniem dla darów nieba. Myślę, że stałam się nawet miłsza dla otoczenia. Zwłaszcza dla Andrzeja, który na mój pooperacyjny powrót przygotował na balkonie naszego mieszkania na czwartym piętrze prawdziwy czar – ptak, ogrody *Semiramidy* i kije na patyku. Gdy weszłam na balkon powitały mnie strojne kany (*Kanis Kanis*) z czerwonymi kwiatami, kwitnący pachnący groszek, wonna maciejka (*Mathias Vulgaris*), karłowate pinie rzymskie (*Pini di Roma*), wijący się na rozpiętych, misternych sznureczkach Szabalbon krasy (*Cha Bal Bon*), kwitnący przepysznie czerwono-karminowym kwieciem i przebój sezonu: kwitnące pomidory kalifornijskiej odmiany, które później, już od sierpnia, owocowały jak zwariowane i smakowały jak obecne *Cherry's Tomatoes* z delikatesów EPI.

Rzeczywistość po przebudzeniu odznaczała się na początku ogromną bolesnością. W mojej głowie błąkały się jeszcze wspomnienia sprzed mojej Małej, Wielkiej Prywatnej Katastrofy. Dziarski profesor z rasowym instynktem rzeźnika – chirurga wytrzebił moją kobiecość z niezwykłą akuracnością i znanstwem. Nie zadrżałam, gdy rzeczowy i konkretny profesor J. W. poinformował mnie, że najbliższe pięć lat to czas, gdy regularnie muszę poddawać się badaniom, by uchwycić ewentualny moment mojej tragicznej i zdradliwej przypadłości, która w każdej nieświadomionej sekundzie może zmienić się w niezauważony i niezauważalny przerzut. Teraz dopiero, po latach uświadamiam sobie jak ciężki był miecz Damoklesa wiszący nad moim życiem. Ale choć czułam się

jak przebudzone dziecko z pełnego grozy snu, moja sztuka stała się pełna grozy i nieświadomionej tragedii.

Na cześć, a raczej na dowód wielkiego szacunku i empatii dla cierpienia innych zrobiłam dwa cykle prac (dzieł) zadedykowane towarzysze życiowej mojego przyjaciela i autorytetu w sztuce Rysia S. (Stanisławskiego), Alinie Szapocznikow. Tak to powstały *DESTRUKTY* (1988) i *TRWOGA PANICZNA* (1989), które w sposób jak najbardziej świadomy formalną stylistyką nawiązują do jej *Zielnika*.

Alina Szapocznikow, bez wątpienia najwybitniejsza artystka polska dwudziestego wieku, obok Marii Pinińskiej-Bereś, jest moją mega-gwiazdą, która przez przypadek i źle wygrany życiowy los skończyła tak, jak mogłam zakończyć artystyczną karierę i żywot ja, banalnym nawrotem choroby, której nazwy nie wymienię, by nie pyszniła się swoją złudną i zjadliwą mocą.

Myślę teraz, że przebudzenie (*Przebudzenie*), choć traumatycznie bolesne, ubogaciło mnie i przysłużyło się mojej sztuce.

Jeśli będzie mi udzielony czas od Pana Czasu, JHWH, Wielkiej Transcendencji albo od Boga Ojca mocno zamierzam wykorzystać go na *Ober Projekt*, *Der Grosse Projekte*, *Super Projekt*, *Balszof Projekt* czyli *Opera Omnia*.

Ten zamysł chodzi mi po głowie od dawna, by będąc muzycznie uwrażliwioną debiutantką muzyczną według libretta mojego wykonać *Dark Dawn*, *Daybreak*, *Dunkel Frühmte* czyli *Ciemną Jutrznie*, którą wraz z Orkiestrą, Chórem *á Capella* i partią sopranu i tenora wykona Orkiestra Filharmonii w Szczecinie w roku 2009 na otwarcie mojej wystawy w Muzeum Narodowym, która jest (będzie) moją ofiarą za darowany mi przez Opatrzność czas.

Natalia LL, 27.10.2008

Tekst towarzyszący pracom Natalii LL (*Trójkąt Magiczny*, *Destrukty 4,5,6*, *Trwoga Paniczna*, *Apage Satanas*), pokazanym na wystawie „Oddzielenie” (Natalia LL, Joanna Zastróżna, Konrad Kuzyszyn, Piotr Rosiński, Piotr Turek), Muzeum Kinematografii, Łódź, listopad-grudzień 2008.

LITERATURA:

1. Teilhard de Chardin, *Moja Wizja Świata*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1987,
2. Theodor Wisengrund, *Dialektyka negatywna*, PIW, Warszawa 1986.